

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (19)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Traktował młodszego kolegę po piórze dość życzliwie, gdyż nie nosiłem w sobie zacietrzewienia wobec Białorusinów, jakie cechowało niektórych miejscowych. Przeciwnie, ciekawiła mnie białoruska działalność, popierałem ją, zwłaszcza spodobał mi się pomysł (padł chyba po 1989 r.), żeby ulice białostockie nosiły dwujęzyczne nazwy. Wydawało się, że skoro w 300-tysięcznym mieście coś ze 100 tysięcy osób ma korzenie białoruskie, stoją cerkwie prawosławne, jest prasa i stowarzyszenia mniejszościowe, dlaczego by nie... Ponoć lokalnych tzw. patriotów szlag trafiał na samą myśl o podobnym zabiegu. A przecież taki akcent (jak litewskie nazwy na Suwalszczyźnie, oficjalnie zaklepane przez Sejm) pokazywałyby dawną różnorodność Rzeczypospolitej, byłyby nawiązaniem do lat przedrozbiorowych, okresów – ponoć – tolerancji. Czemu ci ludzie tak się zacietrzewiają? – pytałem Janowicza. Przecież dwujęzyczność miasta byłaby czymś pięknym i prawdziwym! A on odpowiadał mi wprost, że jako Wielkopoleń nie pojmę tego, gdyż nie gnieźdzą się w mojej głowie demony siedzące we łbach nacjonalistów polsko-białostockich i mam zbyt duży dystans do tej sprawy.

Po latach muszę przyznać mu rację. W pewnym momencie (lata 90. i następne dekady) wyszło na światło dzienne to, co było publicznie długo skrywane, niekiedy nawet (za PRL) niszczone, a dotyczyło żydowskiej przeszłości miasta, zresztą wielce oryginalnej. Że Białystok powinien sobie przypomnieć XIX- i XX-wieczną historię, obudzić pamięć i pokazywać żydowskie korzenie miasta. Fakt, mówiono czasem o tym, gdy mieszkaliśmy nad Białką, ale rzecz traktowano w kategoriach ciekawostek, rodzimego folkloru lub pasji paru oryginałów. A działo się tak w mieście, w którym do 1939 r. połowę mieszkańców stanowili Żydzi. Gdzie podczas okupacji istniało duże getto, w którym wybuchło tragiczne

powstanie. Dawne getto to centrum współczesnego ośrodka miejskiego wyznaczone głównymi jego ulicami: Lipową, Sienkiewicza, Poleską. Tymczasem współcześnie „mojżeszowa przeszłość” została niemal wyparta z pamięci, a w przypadku młodzieży nie jest wręcz dopuszczana lub bywa przeinaczana. Słowem na bieżąco postępuje „korekta” na kartach historii miasta. Drastycznie opowiada o tym książka Michała Kąckiego „Biała siła, czarna pamięć” (Wydawnictwo „Czarne” 2015). Dzięki niej zrozumiałem, że za „czasów Sokrata” nie było szans na dwu- lub trójjęzyczne nazwy ulic. Także na szumne pojednanie, współpracę i dialog różnych kultur lub religii. Nie było to możliwe kiedyś, a cóż dopiero dziś! Nie pozwolą na to miejscowi kibole. Dali przykłady, pokazywane w telewizji, gdy palili lokale lub mieszkania śniadolicich obcokrajowców mieszkających w Białymstoku. Ów wizerunek nietolerancyjnego miasta pogłębiły ataki na Marsz Równości już teraz, w XXI wieku. Jak dobrze, że stamtąd wyjechałem, myślę sobie. Czy Sokrat doczekał i doświadczył podobnej presji? Może dlatego ostatecznie pod koniec życia opuścił Białystok i wrócił do swoich Krynek?

Z Janowiczem spotykaliśmy się nierzadko na imprezach literackich w mieście, a czasem u poety Janka Leończuka, mieszkającego we wsi Łubniki, jakieś 11 km od Białegostoku. Jednak nasze kontakty zawiązały się silniej po opuszczeniu przeze mnie „Wielkiego miasta Białystok”. Otóż szczególnie po 1989 r., a później po rozpadzie Związku Radzieckiego i powstaniu wolnej Białorusi, postać pisarza i działacza mniejszościowego stała się w kraju, ale i wśród białoruskiej diaspory na Zachodzie, ogromnie popularna. Rozmaite czasopiśma chętnie drukowały jego głos, rozmowy z nim, a że nadal mieliśmy do siebie sympatię, Janowicz chętnie – nawet na telefon – udzielał mi wywiadów, które służy w świat. Wysyłał mi potem wycinki, a z Krynek przychodziły materiały (niekiedy po białorusku, angielsku), nowe książki i publikacje. Szkoda, że nie znam języka białoruskiego, gdyż czytanie przesyłał w tym języku zupełnie mi nie szło (próbowałem korzystać z podobieństwa z językiem rosyjskim). Wiele prac sprezentowałem tłumaczcze (zresztą także dzieł Janowicza) – Hance Sobieckiej.

Sokrat Janowicz, już jako autorytet i mędrzec (ale zawsze z dystansem do siebie), uruchomił w Krynkach projekt i stowarzyszenie Villa Sokrates; w tych ramach odbywały się interesujące międzynarodowe sympozja, Janowicz zaś realizował swą ideę białoruskiego odrodzenia. Szło ku dobremu. Dlatego z zaskoczeniem dowiedziałem się o jego śmierci. Podejrzewam, że nie dbał po prostu o zdrowie. Chorował, jak i ja, na cukrzycę, więc od czasu do czasu gadaliśmy sobie telefonicznie o chorobie. Lecz jak mi się zdaje, w niewielkim stopniu interesowały go problemy zdrowotne, pewnie lekceważył je, ważniejsze było działanie. I oczywiście twórczość, coraz bardziej istotna, znana już za granicami, na coraz wyższym poziomie. Przeglądałem dedykacje wpisywane na takich pozycjach jak „Terra incognita: Białoruś” (1993), „Dolina pełna losu”

(1993). Na wywiadzie-rzecz przeprowadzonym przez Jerzego Chmielewskiego w roku 2000 znajduję dowcipny zapis: „Szanowni Państwo Kurzawowie, to mój wkład do Waszego Ogrodu Sztuk – od Sokrata”. Chyba napisał to po kolejnej rozmowie telefonicznej, w której opowiadałem mu o naszym rodzinnym przedsięwzięciu pod nazwą Ogród sztuk, coś jak jego Villa Sokrates. Poczł więc powinowactwo duchowe i krótko to skwitował.

Sokrat Janowicz, ur. 4 września 1936 w Krynkach - zm. 17 lutego 2013 również w Krynkach. Pisarz białoruski, tworzący także po polsku; mistrz lirycznych miniatur prozą. Ukończył filologię polską na UW. Kilka dekad zamieszkiwał w Białymstoku, po powrocie do Krynek m.in. patronował projektowi „Villa Sokrates”; zaangażowany w białoruskie odrodzenie narodowe. Pochowany na cmentarzu prawosławnym w Krynkach.

Piotr Kuncewicz

Z Piotrem „mijaliśmy się” na północnym wschodzie Polski w latach 80. XX wieku, gdy – zapewne żeby sobie dorobić – jeździł jako juror na konkursy literackie, pisał wstępy do lokalnych zbiorów wierszy, odbywał prelekcje i spotkania autorskie. Mój kolega z Olecka, Wojtek Anuszkiewicz, animator życia kulturalnego, był dobrym znajomym Kuncewicza. Mówił o nim per Piotr, czyli byli blisko. Anuszkiewicz wspominał przy różnych okazjach, że widział się z Kuncewiczem a to na imprezach literackich, a to znów na seminariach twórców, lecz mnie się fizycznie Piotr wymykał. Tak czy owak o znanym przecież krytyku słyszałem, lecz nasze drogi się rozmięły. On jednak musiał coś o mnie wiedzieć, gdyż wspominał w swym monumentalnym dziele „Agonia i nadzieja” drukowanym w odcinkach na łamach „Przeglądu Tygodniowego” w latach 1987 i 1988, a potem opublikowanym w kilku tomach. Znalazłem się w tomie III jako „wędrowniczek od Zbąszynia po Suwałki, który jest autorem kilku melancholijnych tomów” (i tu wymienia). Noż kurde, o melancholiję nie podejrzewałem siebie wówczas. Teraz – owszem.

Blżej poznaliśmy się, gdy w 1990 r. Piotr Kuncewicz został prezesem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, a ja w 1994 r. prezesem oddziału ZLP w Zielonej Górze. Siłą rzeczy musiałem bywać w stolicy na spotkaniach, posiedzeniach. Podczas jednej z pierwszych narad, w których uczestniczyłem (w Domu Pracy Twórczej, czyli pałacu w Oborach), Piotr zrobił mi wspaniałe wejście, reklamując przed całym Zarząd Głównym jako autora „znakomitej i unikatowej” pracy, za jaką uznał „Słownik polskich pisarzy współczesnych Wileńszczyzny” (Zielona Góra 1995).

cdn.

